

Lekko zadrżała. Skąd mógł wiedzieć, że nie już się nie boi i że nie jest jej przykro. Nad szczerością jednak zapanowała fałszywa ambicja i obawa przed czemś rżnięciem.

— Nie zechcesz pan chyba nadużywać swej przewagi silnego i uzbrojonego. Proszę nie zapominać, że jesteś pan w obcym domu, w którym jest służba i w którym ja panią jestem.

— I tego nie powiedziała pani z przekonaniem. Przecież mąż pani zabrał wszystką służbę ze sobą i w domu jest tylko pani i stary sługa.

— Skąd pan wie o tem?

— Wszak pani jest żoną pana Wilhelma Szporna?

— Czy pan zna mego męża?

— Znałem go niegdyś, bardzo dawno temu. Dziś nie mam przyjemności.

— Nie rozumiem.

— Tu nie o to chodzi.

— O cóż zatem?

— Niech pani przypuści, że ja tu wszedłem nie po to by zabrać coś, ale by coś zostawić.

— Coś zostawić??

— Tak jest. By jednak to się stać mogło, musi pani bodaj przez czas, w którym tu jestem, wierzyć w to wszystko, co ja mówię.

— Przecież ja pana nie znam.

— Do nieznanomych często powinno się mieć więcej zaufania, aniżeli do znanych. Przecież pani wiara będzie polegała tylko na szczerości, na przyznaniu się w sobie samej, że ja mówię prawdę.

Milczała, patrząc w granatowe oczy jego.

— Słyszałem skargę pani, zawieszoną szeptem w muzyce. Pani tęskni i jest pani smutną. Czyż tak trudno przypuścić, że jestem tu po to, by pomódz pani i bodaj w tysiącznej części spełnić tęsknotę? — Samo zrozumienie muzyki pani, mogło mi wystarczyć za pobudkę.

Milczała ciągle, słuchając.

— Niech pani zapomni jaki dziś dzień jest i jak się pani nazywa i co wychowanie dobre wymagałoby od pani w tej chwili. Przyszedłem pani dać chwilę inną. Nie miałem jednak przedtem tego zamiaru. Obudził się on we mnie, pod wpływem pani muzyki.

Przeczekał chwilę na jej odpowiedź, lecz ona wciąż milczała.

— Jest pani biedną duszyczką, obłożoną ciężkimi, żmudnymi, podobnymi do siebie jak krople wody, dniami. Z dnia na dzień czeka pani, że coś się jednak innego stanie, aniżeli poniedziałek, wtorek, piątek i codziennie kładzie się pani spać, z tą samą, zawieszoną tęsknotą.

— I oto dziś nareszcie, dzieje się coś, trochę inne od wszystkiego. I gdybym usłuchał pani i wyszedł stąd, lub dał się pojmać, smutnoby pani było i tęsknota jeszcze więcej daleką by się pani wydała. Czyż nie tak?

— Nie wiem. — Szeona zadumana.

Poprzez jego oczy patrzyła gdzieś w dal, ale widziała go, — o, widziała bardzo dobrze.

— Żałowałaby pani tego, co się nie stało, a co by się mogło między nami stać.

— Co by się mogło... Powtórzyła nie pytając.

— Czuję, że już się pani mnie nie lęka. Ale chciałbym to z ust pani posłyszeć, by móżdż śmiejeł wieść naprzód.

— Nie wiem. — Po co?

— Niech pani wsłucha się nie w głos mój, ale w słowa. Chciałbym, ten czas spotkania się naszego wyrwać z życia i stworzyć w nim coś innego, coś, coby nazawsze w pani i we mnie zostało.

— Po co?

— By w innym czasie, smutku i tęsknoty, szarzyzny i beznadziei, był wyspą wspomnienia jasnego.

— Czy to możliwe?

— Człowiek nieraz w czasie najsmutniejszego życia usypia ze zmęczenia i miewa przedziwnie piękne, kontrastowo inne od jawy sny. Może są to równoważne ciężary jasności, przeciwko ciemności, tęsknoty przeciwko rzeczywistości. Śnią się nam nieraz rzeczy najbardziej niemożliwe, a jednak we śnie przeżywamy je, tak jak rzeczywistość. — Potem budzimy się do swoich następnych trosk po ubiegłych, ale ten sen w nas i w czasie i w przestrzeni pozostaje. I przez długi nieraz jeszcze czas wspominamy go z westchnieniem.

Umilkł na chwilę i patrzył na nią z jakąś prośbą w oczach.

Ale milczenie to, zaniepokoiło ją trochę widocznie, bo nagle cofnęła wzrok z zadumy i patrząc tylko w jego oczy, zapytała:

— Czego pan chce?

— By spotkanie nasze takim snem stać się mogło.

— Nie jestem wolną. — Powiedziała mimowoli.

— Sny nie pytają się o naszą przynależność.

— Nie śpię i nie śnię.

— Pani, słysz, — przecież ja całem sercem do ciebie przemawiam. Przyszedłem tu w bardzo ważnej dla ciebie misji. I wierz mi pani, ja wiele o tobie wiem.

— O mnie? — Co?

— Nieszczęśliwą jesteś. Chcę, byś na chwilę o tem zapomniała.

Zapóźnie. — Coraz bardziej cofała się w siebie i zdawała sobie sprawę z ryzykownej rozmowy. Serce jej biło w takt jego słów, ale przyzwyczajenie i logika zwykła, zabraniały wierzyć w jakieś nadzwyczajności.

Tymczasem obcy, nie przeczuwając reakcji w niej, rzekł nieopatrznie, jakby chcąc wspomódz się w ataku:

— Przecież wiem, biedna pani, że męża nie kochasz, że kochać go nie możesz.

Jakaś błyskawica oślepiła ją.

Ta sama myśl co już raz przedtem, zaświtała. Jednym rzutem porwała rewolwer z przed niego i wymierzyła muś w jego głowę.

— Ręce przed siebie!

Krzyknęła rozpaczliwie, najzupełniej obcym sobie głosem.

Przez twarz obcego przemknął w pierwszej chwili długi skurcz fajonego bólu. Następnie już jednak uśmiechnął się jak do rozkapryszonego dzieciaka i podniósł ręce przed siebie.

Naraz ku jej zdumieniu zaśmiał się.

— Cha, cha, cha, cha. — Dostałem lekcję, że w przeciągu kilku minut, kilkudziesięcioma słowami nie można zmienić długoletniego przyzwyczajenia człowieka, do normalnej logiki.

— A teraz bez żadnych wykrętów, kto pan jest?

— Muszę przez chwilę ochłonać ze zdziwienia. Nie spodziewałem się po pani takiej stanowczości i ryzykownej decyzji.

— Kto pan jest? — Powtórzyła, jakby nie słysząc jego słów.

— Jak na kobietę o wyglądzie pani, było to wcale odważne, ale nie powiem by piękne.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że ja mówiąc przedtem do pani, przemawiałem sercem. Traktowanie zaś i przyjęcie takiej mowy rewolwerem, nie jest chyba ładnem.

— Rewolwer leżał przed panem, w czasie jego przemowy.

— Istotnie. W zadumie zapominałem o tem i przeproszam panią najmocniej, za ten nietakt.

— Zapóźnie.

— Mam prośbę do pani.

— Mówić...

— Podniosłem ręce do góry, by odmową nie zrobić pani przykrości. Ale nie jestem przyzwyczajonym do podobnej pozycji i bolą mnie już ramiona. Pozwoli pani zatem, że je opuszczę. I nie czekając na odpowiedź, opuścił ręce na kolana.

— Ależ pan kpi ze mnie!

— Pani ze mnie boleśniej zakpiła.

— Ja z pana?

— Tak jest. Powtarzam jeszcze raz zdanie, o mojej serdecznej rozmowie.

Gwałtowny czyn jej jednak dopominał się o konsekwencję. Nie namyślając się nad jego słowami i nad swoim uczuciem zaciekawienia dała się powodować poczuciu przewagi, płynącemu z broni.

— Jeszcze raz pytam kto pan jest?

— Daruję pani, ale i tym razem muszę odmówić. Wiem, że pani postępuje wbrew istotnym, choć podświadomym przekonaniom swoim co do mnie i dlatego, nie mam żalu do pani za ten podstęp.

— Daję panu trzy minuty czasu, do wyjawienia nazwiska i powodu pańskiej obecności w tym pokoju. Jeśli pan nie spełni mego życzenia, — strzelam.

— Śmiało, proszę bardzo. Rewolwer doskonały i nawet pani słabej rączce posłusznym będzie.

— Czas upływa.

— Mnie to nie wzrusza. Gdyby pani od razu nie trafiła, to broń biła sześć razy raz po raz.

— Jeszcze tylko dwie minuty zostają.

— Zgoda, — ja ze swej strony daję pani godzinę czasu, do przemyślenia tego zdarzenia

i przyznania mi wiele prawdy. Mam bardzo ważny interes do załatwienia i muszę niestety na małą godzinę wyjść. Będę tu o jedenastej punktualnie i zpodziwiam się zastać tu panią, naturalnie samą.

— Jeszcze pół minuty.

— Doskonale. — Gdy wrócę, być może będę mógł pani nawet o sobie coś nie coś opowiedzieć.

— Strzelam!

— Proszę celować w tył głowy, tuż nad karkiem, bo rewolwer góruje. — Więc o jedenaście w tym pokoju.

Powstał z miejsca, uklonił się bardzo pięknie i zwróciwszy się ku oknu szedł spokojnym, zgrabnym krokiem.

Pani podniosła broń na wysokość jego głowy.

Serce jej skrzepło wstrzymanym oddechem, ale ręka wyciągnięta odmówiła posłuszeństwa.

Oczy jej zapałzone zdumieniem w głowę obcego, zdawały się być przywiązane wzrokiem do niego i ciągnąć ją za nim.

Obcy przeskoczył przez parapet okna i wszedł w sad.

Szarpanymi krokami podeszła do okna i zaciśnię zęby, chciała zmusić się do pociągnięcia cyngla. Ale jego głowa nie okryta kapeluszem oddała się spokojnie w sad, poruszywszy w drodze gałąź zroszo ego bzu.

Pani opuściła niemocną rękę i zdumionemi do zapamiętania oczyma, z wpeł otwartymi ustami, odprowadziła obcego ścieżką między drzewami, aż do zakrętu.

II.

Obcy przez pół godziny szedł lasem na przełaj, nie trzymając się żadnej ścieżyny.

Po pół godzinie wydostał się na skraj polanki, na której widać było leśniczówkę.

Duży budynek, otoczony stajnią, drewnią itp. zabudowaniami gospodarczymi, stał ciemny i wyglądał jak wymarły.

Dwie ciemne wieżyczki jego wydostawały się ponad sylwetę lasu i same z całego budynku czarnym konturem, odcinały się na jasnym niebie.

Po dłuższym wpatrzeniu się, obcy spostrzegł dokoła leśniczówki ruszające się gromadami i w pojedynkę ludzkie cienie, co jeszcze bardziej podkreślało niesamowitść leśniczówki i polany.

Obcy cofnął się w las i wpatrzony w ziemię czegoś szukał pod drzewami. Zbliżył się do małego, prawie niewidocznego pagórka pod starym dębem i przykłął obok niego. Zanurzył ręce w wysoką trawę i z wysiłkiem podniósł obrośnięte, grubo ziemią, jakieś wieko. Z pod wieka zionęła czarna pustka. Obcy wsunął się w nią i znął pod wiekiem, które zakrył za sobą.

Tymczasem w krąg leśniczówki na polanie ludzkie cienie schodziły się i rozchodziły pod drzewami, szeptały i szemrały między sobą.

— Stary Szymon go widział.

— Podobno od tygodnia już tu siedzi.

— Mówił Szymon, że obrośnięty jest i obdarty jak zbój. A czy ma mieć całkiem czerwone.

— Teraz akurat dwa lata, jak ostatni raz tu był.

— Będzie znowu nieszczęście.

— Ale czemuż to jaśnie pan nie przyjeżdża?

— Miał dogonić nas w lesie.

— Może go w drodze jakie złe spotkało?

— E, takiemu to nic się nie stanie.

— Nie bajajcie, ino obśtaście dom podług rozkazu jaśnie pana i pilnujcie.

Cienie się znowu przegrubowały.

Tu i tam księżyc przez gałęzie przeciekając, oświecał nagle jakąś pooraną brózdami, łepą twarz mężką.

Nagle w jednym z okien czarnego budynku, pokazało się czerwone światełko.

Szmer przerażenia przeskoczył między ludźmi.

— Jest... jest... świeci...

— Gdzie?

— W górnym okienku...

— Nic o nas nie wie.

— Pochować się i czekać, dokąd jaśnie pan nie przyjdzie.

Czerwone światełko tymczasem mrugało to w jednym, to w innym oknie górnego piętra budynku.

Pod najdalszym od leśniczówki dębem, siedział ukryty w mroku sam Szymon i rozmawiał z sołtysem Jakubem.

(Ciąg dalszy nastąpi).